

## **Marcin Frantz**

### **człowiek - budowniczy - architekt**

Marcin Frantz jest jednym z dwóch zaledwie architektów czynnych na Śląsku w okresie baroku, którzy już przed wojną doczekali się opracowań monograficznych - a więc osobnych książek poświęconych ich życiu i działalności. Drugim jest pochodzący z Jawora Krzysztof Hackner, który zrobił karierę we Wrocławiu, a trzecim – jezuita Krzysztof Tausch, ale jego monografia powstała już po wojnie. Innym, nawet znacznym i aktywnym, jak Michał Klein, Błażej Peitner, Feliks Antoni Hammerschmiedt czy Jan Jerzy Knoll, nie poświęcono dotąd nawet obszerniejszych artykułów.

Za życia nie wiodło mu się jednak tak dobrze, zwłaszcza w porównaniu z Hacknerem, który dorobił się licznych tytułów, pośmiertnych panegiryków i niemałego majątku. Marcin Frantz urodził się w 1679 r (prawdopodobnie) w pierwszych dniach marca, w Rewelu - dzisiejszym Tallinie, który jest obecnie stolicą Estonii. Położony jest jakby w punkcie ciężkości, pomiędzy Helsinkami (po drugiej stronie Zatoki Fińskiej), Sztokholmem od zachodu i Rygą od południa. Na wschodzie już stosunkowo niedługo miał powstać Sankt Petersburg. Tereny te od 1622 r. należące do Szwecji, jako Inflanty Szwedzkie, po zdobyciu w 1710 r. Rewla i Rygi przez wojska Piotra I. miały przejść do Rosji. Zamieszkałe przez Bałtów, penetrowane były przez Skandynawów, Rosjan, ale i Niemców, którzy docierali tutaj przez Prusy Wschodnie i Hanzę. Sam Martin Frantz uważał się za Szweda, skoro tak go nazywano w Legnicy, a o jego urodzonym tutaj synu – Karolu Marcinie, pisano jeszcze, że jest „natione Svecus, sed incolatu Lignicensis”. Był jednak Szwedem niemieckojęzycznym i to go łączyło z mieszkańcami Śląska. Oprócz tego – jak wielu z nich był protestantem. Co to znaczyło jednak wówczas, być uznawanym i uważać się za Szweda? – Oznaczało zapewne być kojarzonym z potęgą militarną, która dopiero niedługo miała upaść i w dodatku uważana była za orędowniczkę protestantów oraz ich zbrojne ramię. Taka była rola Szwecji w czasie wojny 30-letniej, którą na pewno dobrze pamiętano na Śląsku, pokoju westfalskiego i konwencji altransztadzkiej w 1707 r. W czasach kiedy o dobrobycie ludności decydowała głównie jakość gruntów rolnych i klimat, północna Szwecja należała do biednych krajów. Dobra kulturalne zdobywała raczej drogą podbojów (jak w czasach

„potopu” w Polsce), niż przyciągania i wspierania artystów. Co prawda, nie brakło i miłośników sztuki. Przykładami mogą być Wazowie w Polsce (Zygmunt III, Władysław IV-ty i Karol Ferdynand - biskup wrocławski) królowa Krystyna Szwedzka, która osiadła w Rzymie. Przeszli jednak na katolicyzm i „wyemigrowali” bo surowa mentalność protestancka nie sprzyjała sztuce, a zwłaszcza jej barokowemu rozkwitowi. Toteż z północy przybywało na Śląsk zadziwiająco wielu uzdolnionych artystów: oprócz Frantza, Weisfeldt, Dankwart (także Szwed), Willmann. Z północnych Niemiec - Berlina w Brandenburgii, graniczącej wówczas ze Szwecją (Szczecin !) przyjechał do Wrocławia pierwszy mistrz Frantza – Jan Jerzy Knoll pochodzący jednak z Szwabii. Co ich tutaj przyciągało? Zapewne praca w kraju, który podnosił się dopiero ze zniszczeń wojny trzydziestoletniej, wspólny język oraz względna tolerancja dla protestantów. Narodowości nie ukrywano, bo nie stanowiła ona wtedy żadnej życiowej przeszkody. Wydaje się, że bez względu na odmienne skojarzenia jakie musiała wywoływać potęga szwedzka u śląskich katolików i protestantów, nie były one przenoszone na losy jednostkowe. Po prostu przed ukształtowaniem się w XIX wieku państw narodowych, nie było jeszcze ksenofobii, a cyrkulacja różnych narodowości w Europie, wśród zwaśnionych państw, odbywała się względnie swobodnie. Granice łatwo jeszcze było przekroczyć. Toteż nie brakowało obieżyświatów i awanturników.

W czasach kiedy o wyborach religijnych miała wciąż decydować stara zasada „cuius regio eius religio” – czyli siła i przemoc, na skonfliktowanym religijnie Śląsku bardziej mogła dziwić tolerancja w sprawach wyznaniowych, przynajmniej gdy chodzi o artystów i wykonawców. Wszyscy badacze baroku na tym terenie przyznają jednak zgodnie, że katolicy – nawet urzędnicy cesarscy i wyższe duchowieństwo powierzali swoje inwestycje często protestantom – i *vice versa*. Sytuacja była bowiem taka, że centralna władza była w rękach katolików, a społeczeństwo i władze samorządowe to głównie protestanci – czyli „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”. Kryły się jednak za tym zapewne osobiste animozje i sympatie. Być może jednak dlatego Frantz trafił najpierw do takiego ośrodka protestantyzmu, jakim była Legnica, a potem przegrał z konkurencją i szukał zleceń w Jeleniej Górze i na północy Śląska.

Powołanie i zawód wówczas często dziedziczono. Co prawda, nie zawsze - jak w wypadku jednego z licznych synów znakomitego architekta, Kiliana Ignacego Dientzenhofera, który zostawszy mnichem, po śmierci ojca starał się o zwolnienie ze ślubów zakonnych do złożenia których (jak twierdził) został przez niego

przymuszony. Zamierzał bowiem pójść w ślady ojca, który miał jednak powiedzieć że wolałby go raczej widzieć w trumnie, niż uprawiającego ten okropny zawód. W wypadku Marcina Frantza nie było takich komplikacji. Jego ojciec – również Marcin – był budowniczym miejskim w Rewelu. Ważniejszą rolę odegrał tu jednak zapewne jego ojczym, Georg Winkler, budowniczy i starszy cechu murarzy, którego matka Marcina, Elsgen z domu Seger (Seyer), po śmierci pierwszego męża, poślubiła w 1684, kiedy malec miał zaledwie 5 lat. Po ukończeniu 13 roku życia, został wpisany na listę uczniów, a w 5 lat później - czeladników cechu murarskiego. Tak wyglądały pierwsze lata jego edukacji zawodowej. Odbiegały one bardzo od dzisiejszych standardów kształcenia architektów, którzy dzisiaj muszą skończyć politechnikę i uzyskać jeden z najdłuższych tytułów naukowo-zawodowych „mgr. inż. arch. Architektury uczono wówczas amatorów – nawet w szkołach średnich, ale wyłącznie teoretycznych zasad i znajomości porządków antycznych, przydatnych synom szlacheckim, jako znawcom i inwestorom. Jednak zawód architekta trudno jest oderwać od spraw wykonawstwa, czyli praktycznej wiedzy budowlanej. Dzisiaj są wprawdzie od tego inżynierowie budowlani i konstruktorzy, ale i tak przyszłym inżynierom architektom przekazuje się na politechnice sporo wiedzy na ten temat. Jednak Frantz urodził się prawie pół wieku wcześniej od Józefa Lagranga (1736–1813), który miał dopiero stworzyć podstawy statyki analitycznej, umożliwiającej rachunkową symulację rozwiązań konstrukcyjnych. Podstawowa wiedza z tej dziedziny, zapobiegającej katastrofom budowlanym, była więc osiągalna drogą intuicji i doświadczenia, gromadzonego od wieków przez pokolenia budowniczych. Te doświadczenia przekazywane były przez ojców - synom, mistrzów – uczniom, w ramach cechów, warsztatów i strzech murarskich. Niekiedy wręcz – już w średniowieczu, przekształcały się w strzeżoną zazdrośnie wiedzę tajemną, z czego zrodziła się masoneria, elitarna organizacja budowniczych świata – wolnomularzy. Nabywało się ją jednak przede wszystkim przez długie lata - od dziecka spędzane na budowie. Oczywiście nie było też wówczas, w czasach kiedy na architekturę stać było tylko najbogatszych, którzy korzystali ze służby, mowy o dzisiejszym funkcjonalizmie. Chodziło raczej o reprezentację, chociaż liczyła się również ekonomiczność. Co oprócz tego musiał umieć ówczesny adept architektury? Niewątpliwie rysować i mierzyć. Co do pisania, są już wątpliwości. Jak wiadomo szkół powszechnych wówczas nie było i zdarzało się, że analfabetami bywały nawet hrabiny i dyplomaci (mieli sekretarzy). O jednym z najwybitniejszych architektów

europejskich, jakim był Krzysztof Dientzenhofer, zachowała się notatka (co prawda dyskusyjna), że nie umiał ani pisać, ani czytać. Za to jednak jego syn, wspomniany Kilian Ignacy otarł się o gimnazjum łacińskie i według Peltzla potrafił brać udział w dysputach teologicznych i filozoficznych. O tym kto przez całe życie pozostał murarzem, a kto projektującym, twórczym architektem decydował nie papier, ale talent. Dyplom był tylko jeden dla wszystkich – mistrza murarskiego. Aby go jednak uzyskać trzeba było jednak zdać trudny egzamin (często przed obcą komisją) i wykonać pracę mistrzowską, przeważnie związaną z rysunkami budowlanymi. Dawał on także uprawnienia projektowe.

Zanim doszło jednak do egzaminu, trzeba było jednak odbyć jeszcze wędrowkę czeladniczą, trwająca 4 lata. W momencie kiedy współcześnie kandydat na architekturę, po zdaniu matury w liceum szykuje się głównie do egzaminu z rysunku, jego kolega sprzed stuleci wybierał się samodzielnie w zagraniczną podróż. Obowiązywała on także w innych cechach, ale zawód budowniczego („budowlańca”) miał od dawna charakter wędrowny, choćby dlatego że był sezonowy. W zimie nie pracowano – wracano do siedzib, niekiedy dość odległych. W dodatku z obróbką kamienia i drewna najwięcej mieli do czynienia mieszkańcy nieurodzajnych terenów górskich – a jak wiadomo: „dla chleba, panie dla chleba – i góry porzucić trzeba”. Były to Alpy z których podnóża, szwajcarskiego i północnowłoskiego wywodziło się tylu budowniczych zabytków europejskich - „komasków i gryzończyków”, ale i Tatry do dzisiaj. O pracę nie było też łatwo – znajdowano ją tam, nierzadko daleko od miejsca urodzenia, gdzie była koniunktura, odbudowywano kraj po zniszczeniach wojennych, (n. p. wojny trzydziestoletniej), albo miasta po pożarach, jak Wilno w 1706 r. Z wędrowki nie zawsze więc wracano do domu, ale często starano się osiedlić tam gdzie była praca. Co robiono w czasie wędrowki? – zatrzymywano się w specjalnych zajazdach dla czeladników i pracowano okresowo na budowach, na coraz wyższych stanowiskach, dostępnych dla czeladników, aż do podmajstrzego (polier), kierującego budową. Przy okazji zwiedzano sławne budowle, notowano je w szkicownikach, gromadzono projekty i graficzne widoki i książki, praktykowano w pracowniach sławnych architektów.

Nasz bohater został wpisany na listę czeladników 18 lutego 1697 i mając 18 lat, wyruszył zaraz potem, jak inni, w wędrowkę. Którędy ona wiodła – nie wiemy. Mogła prowadzić najkrótszą drogą na Śląsk – przez Litwę i Rzeczpospolitą, ale również - okrężną. Najczęściej przypuszcza się, że Frantz zatrzymał się

w stołecznym Sztokholmie, gdzie poznał „Katarina Kyrka” – jeden z najważniejszych kościołów protestanckich, który później naśladował. Tak czy inaczej nie mógł zapewne wrócić do rodzinnego miasta, w którym miał różne, ułatwiające życie „układy”, bo w 3 lata później wybuchła wojna północna (1700 – 1721), w wyniku której Estonia przyłączona została do Rosji,. Było to wprawdzie jeszcze przed rozstrzygającą bitwą pod Połtawą (1709) w której Szwecja ostatecznie straciła militarne znaczenie. Jeszcze musieli się z nią liczyć Habsburgowie wycieńczeni wojnami tureckimi, o sukcesję hiszpańską i powstaniem kuruców na Węgrzech i dlatego mogło dojść w 1707 r. do Konwencji Altransztadzkiej w której Karol XII wystąpił jako obrońca śląskich protestantów, zmuszając cesarza do zgody na zwrócenie im 104 kościołów zabranych wcześniej przez katolików, budowę 6 nowych świątyń - t. zw. Kościołów Łaski oraz wydanie szeregu innych aktów tolerancji. Niewątpliwie skorzystał na tym Marcin Frantz w pierwszym okresie swojej działalności na Śląsku.

Paradoksalnie związał się jednak najpierw z najważniejszymi szermierzami kontrreformacji, którymi byli jezuici. Kiedy przybył do Legnicy, prawdopodobnie w 1704 r. budowali oni tam swoje kolegium i przygotowywali się do wzniesienia kościoła, który miał przyćmić inne na Śląsku. W mieście, które do niedawna, pod rządami ostatnich Piastów, stanowiło stolicę i ostoję miejscowych protestantów miał stanąć na miejscu kościoła, w którym byli pogrzebani i mieściło się ich mauzoleum. Protestantka kaplica w katolickim kościele mogła stać się swoistym symbolem zwycięstwa. Budowę kolegium kierował Jan Jerzy Knoll, stary budowniczy z Wrocławia. Nie wiemy dokładnie kiedy się urodził, ale prawa mistrzowskie uzyskał w cechu wrocławskim dopiero w 1694, prawdopodobnie w wieku 50 lat, na 10 lat przed śmiercią. Nawrócony na katolicyzm pod koniec życia, po podróży do Rzymu, był postacią kontrowersyjną. Stary mistrz wywoływał wprawdzie środowiskowe spory, ale to jemu właśnie przypada zasługa sprowadzenia na Śląsk pierwszych form rzymskiego baroku. Nie tylko Frantz, ale i Hackner zawdzięczają mu także początki swoich karier. U Knolla młody Szwed zaczął najpierw pracować jako czeladnik, a gdy ten zmarł w listopadzie 1704 r. objął po nim kierownictwo budowy kolegium. Nic dziwnego że już w następnym roku ożenił się z legniczanką, Barbarą Elżbietą Schönwalder córką stolarza. Mógł teraz uzyskać prawa obywatelskie i tytuł mistrza cechowego. A może też pomógł mu później wykonać model kościoła w Jeleniej Górze? Przy kolegium jezuickim w Legnicy pracował jeszcze dwa lata, realizując

projekt Knolla. W 1714 rozpoczęła się budowa kościoła św. Jana, którego być może był realizatorem. Związana była niestety z katastrofą budowlaną, gdyż nieznane dotąd na Śląsku sklepienia żaglaste o tak dużej rozpiętości w 1726 r. zaczęły się rysować, a już po śmierci Frantza w 1744 r. ostatecznie runęły. Nie wiemy czy nasz architekt był w to zamieszany. Jako ewentualny realizator, podobnie jak Knoll nie wywarł większego wpływu na kształt kościoła, który jest oryginalną repliką praskiej świątyni jezuitów św. Mikołaja na Malej Stranie, a zarazem jednym z czołowych przykładów guariniowskiego „radykalnego” baroku czeskiego na Śląsku. Ze stylem tym młody przybysz z północy nie miał jeszcze wtedy nic wspólnego i podejrzewać tylko można, że przyczynił się jedynie do nadania kształtu hełmom wież. Same wieże naśladował później w Szprotawie. Kontakty z jezuitami nie przerwały się jednak zupełnie, skoro w 1726 zlecili mu budowę charakterystycznej sygnaturki nad swoim kościołem we Wrocławiu i uwiecznili jego nazwisko w dokumencie włożonym do gałki.

Jako projektant mógł ujawnić swój talent dzięki Konwencji Altransztadzkiej. Do niego bowiem zwrócili się protestanci z Jeleniej i Kamiennej Góry ze zleceniem na Kościoły Łaski. A więc to Jelenia Góra była właściwym miejscem inicjacji Frantza w zawód architekta, w znaczeniu zbliżonym do dzisiejszego. Oprócz budowy kościoła św. Krzyża (1709 – 1715), której okoliczności są powszechnie znane dzięki licznym publikacjom, jego dziełem jest tu także prosty i surowy budynek protestanckiej parafii i zarazem gimnazjum. Wiemy też że kupił tutaj działkę budowlaną. G. Grundmann przypisuje mu ponadto kamienicę Baumgartenów w Jeleniej Górze oraz ich grobowiec na cmentarzu przy kościele św. Krzyża. Nawiązał na pewno dobre stosunki z bogatym mieszczaństwem jeleniogórskim, skoro bankier – Bonito von Mohrenthal, który finansował budowę plebanii i gimnazjum, wspomina o nim w liście do Schaffgotscha. Jest więc prawdopodobne, że zaprojektował dla niego również przebudowę palacu w Pieszcach (1710). Podobnie było w Kamiennej Górze.

Trudno wyobrazić sobie architekta bez umiejętności rysunku i projektów, aczkolwiek zachowało się ich znacznie mniej niż budowli. W wypadku Marcina Frantza przetrwało ich kilka. Część z nich sygnowana jest zamaszystym podpisem „M. Frantz” z zawijasami, pozostałe – na odwrót – mają starannie wykaligrafowane kursywą imię i nazwisko mistrza: „Martin Frantz”. Pierwsza grupa to trzy projekty kościoła Łaski w Kamiennej Górze, zespołu budynków gospodarczych kolegium

jezuitów Żaganiu, oraz helmu na wieży ratusza w Szprotawie - dwa pozostałe przedstawiają podobny zespół w Sicinach i fasadę pałacu w Rzęśniku. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że te pierwsze wykonał sam Marcin Frantz, a drugie – jego syn Karol Marcin. Rysunki ojca zaopatrzone w fantazyjny podpis, są poprawne, staranne, ale pozbawione swobody i surowe - jakby wykreślone od linii ostrym narzędziem – zapewne piórem. Tego linearnego efektu nie łagodzi nawet światłocień. Zgadza się to z naszym wyobrażeniem o klasycznym stylu architekta z północy. Rysunki pałacu w Rzęśniku i folwarku w Sicinach są delikatniejsze i mają więcej jakby kokietyjnego wdzięku, właściwego epoce rokoka. Widać w tym nie tylko różnice w gustach i stylach, ale być może i w charakterach.

Fach architekta należał do wolnych zawodów. Była duża konkurencja. Trzeba było umieć się zareklamować, wypromować i przekonać inwestora do swojej koncepcji, wysłuchać pokornie jego życzeń i opinii, szczególnie jeśli zajmował wyższą pozycję społeczną. Do tego służyły również efektowne rysunki projektowe, a niekiedy i kunsztownie wykonane modele. Współczesne określenia: „artysta, architekt” - to synonimy twórcy. Nie brakuje wprawdzie i dzisiaj naśladownictw w architekturze, ale niechętnie się o tym mówi. Dawniej otwarcie wymagano od architekta aby zaprojektował i wzniósł budowlę „ad normam” – „na wzór” obiektu widzianego w czasie podróży, lub poznanego za pośrednictwem obrazów i grafik – im wierniej, tym lepiej. Praw autorskich jeszcze nieznano, dobra intelektualne nie podlegały materialnej wycenie, ani ochronie – tylko kunszt, materiały i praca. Oczywiście, kiedy zawierano umowę konieczny był projekt „abrys”, jako podstawa uzgodnień, których wykonawca musiał ściśle przestrzegać. O to kto był jego autorem, chyba jednak nikt nie pytał. Mógł być cudzy – przywieziony z podróży, albo i przysłany inwestorowi. Dzisiaj mówi się wręcz o „architekturze korespondencyjnej” w tych czasach. Za projekt, pomysł, koncepcję – nie płacono, chociaż używano określenia - „invenit”. Pojęcia plagiatu nie znano, tak jak „dobra intelektualnego”. Jak i dzisiaj zresztą, łatwiej akceptowano to co znane i uznane niż twórcze i nowatorskie.

W takiej sytuacji dosyć wierna (choć uproszczona) kopia sztokholmskiej „Katarina Kyrka” mogła przynieść Frantzowi niemały rozgłos - zwłaszcza że miała wyraziste przesłanie symboliczne. Inna rzecz, że ten rozgłos wywoływać musiał odmienne reakcje wśród protestantów i katolików, mimo że w ozdobości jeleniogórskiego wnętrza, zaakcentowaniu prezbiterium i wieży w Kamiennej Górze, można dopatrywać się tendencji do pewnego łagodzenia konfesyjnych różnic.

Tymczasem szwedzkiemu architektowi w Legnicy wiodło się nienajlepiej – jeżeli nie zdecydowanie źle. Świadczy o tym jego sytuacja materialna. W 1717 w dokumentach miejskich notowany był jako „unbeerbt” – nie posiadający własnego domu, a pod koniec życia w 1740 r zalegał z podatkami. Próby Grundmanna przypisania mu ważnych budowli w tym mieście: kościoła św. Jana i stojącego na przeciwko Pałacu Opatów Lubiąskich wydają się nieprzekonywujące. W stolicy księstwa piastowskiego, które niedawno przeszło w ręce Habsburgów o projekty najważniejszych budowli – „inwestycji centralnych” zwracano się do Wiednia i Pragi – do Dientzenhoferów i cesarskiego architekta Antoniego Martinelliego. Realizatorami byli najczęściej, Jan Jakub i Franciszek Scheerhoferowie mocno usytuowani w strukturach władz miejskich i cechowych oraz kamieniarz Jan Krzysztof Bobersacher. Scheerhoferom powierzano również projekty inwestycji o znaczeniu lokalnym, jak ratusz i kościół Benedyktynów.

Wydaje się że w takiej sytuacji Frantz nie miał wiele do zrobienia w Legnicy. Ratował się więc budową pałaców i dworów szlacheckich w bliższej i dalszej okolicy. Autorstwo tylko niektórych jest potwierdzone archiwalnie: Rząśnika dla Holtzhausenów (1734) i Chocianowa (1728–1732) dla hr. Rederna, O wiele więcej jest przypisywanych – poza wspomnianymi już Pieszycami, jeszcze Chróstnik, przebudowa pałacu w Łomnicy (1720), Grodziec, Siedlce i Parchów koło Legnicy. Nawet daleko od Legnicy szuka też zamówień publicznych i kościelnych. Projektuje wieżę ratusza w Szprotawie (1732). Na zlecenie rady tego miasta, Martin Frantz uczestniczył również w realizacji i prawdopodobnie sporządził projekt kościoła Bożego Ciała (1729–1740) Działął również w Żaganiu dla Augustianów odbudowując kościół NMP po pożarze oraz wznosząc na ich zlecenie (1740-1743) skromny i prosty kościółek św. Mikołaja w Stanowie koło Szprotawy. Dla kolegium jezuitów w Żaganiu wykonał również projekt budynków gospodarczych. We Wrocławiu nad ich kościołem Imienia Jezus wznosił wspomnianą sygnaturkę, z charakterystycznym hełmem (1726). Szukał więc Frantz zamówień coraz dalej od stałego miejsca zamieszkania - głównie na północy, może dlatego że tam było najwięcej protestantów.

Na stabilizację finansową najbardziej mogli jednak liczyć architekci którym udało się uzyskać stałe stanowisko w zarządzie miasta, cechu albo godność nadwornego budowniczego biskupiego, królewskiego lub cesarskiego. Jeżeli nie przynosiły one nawet (jako honorowe) stałego dochodu rocznego, to podnosiły

prestż i ułatwiały pozyskiwanie zleceń. Martin Frantz żadnych takich tytułów nie posiadał. Większą ciągłość dochodów i zamówień można było również uzyskać, nawiązując trwałą współpracę z którymś z potężnych i bogatych zakonów. Już w 1712 r., jak o tym świadczy, wspomniany wcześniej list Mohrenthala do Schaffgotscha, próbował nawiązać jakieś kontakty z cystersami krzeszowskimi w Cieplicach. Sporządzony dla nich projekt nie został jednak zrealizowany. Nie wiemy dlaczego. Wydaje mi się dzisiaj, że Frantz mógł natomiast dla opata Ludwika Bauchy zrealizować w latach 1710–1716 Domek Loretański przy kościele opackim w Lubiążu. Był przecież dobrym kopistą, a to najwierniejsze naśladownictwo włoskiego oryginału na Śląsku. Za jego autorstwem przemawiałaby też forma attyki. Najbogatsze klasztory – w Lubiążu i Krzeszowie szukały jednak artystów z Italii, a później z Pragi i Wiednia. Zakorzeniony na protestanckiej północy, klasycyzujący styl szwedzkiego architekta mógł im nie odpowiadać. Mniej więcej w drugiej dekadzie XVIII wieku, coraz bardziej upowszechnia się bowiem na Śląsku dynamiczny i malowniczy barok, napływający z Austrii i z Czech. Marcin Frantz starał się do niego dostosować, stosując – zwłaszcza w pałacach - liczne cytaty z budowli we Wiedniu i Pradze, ale i tak mogły się one wydawać, jak na owe czasy, nazbyt blokowe i ciężkie. Jego kościoły w Szprotawie i Stanowie, pomimo późnej daty powstania, odznaczały się nadal nieomal spartańską prostotą i surowością.

W skutecznej rywalizacji z konkurencją i sukcesach finansowych mogło przeszkadzać Frantzowi także to, że nie wiadomo nic o jego własnej ekipie wykonawczej - stałych współpracownikach, uczniach i czeladnikach. Inwestor musiał więc prawdopodobnie organizować własną. Obudowę kościoła w Żaganiu kierował Frantz przy pomocy podmajstrzego Hansa Georga Bobera ze Świdnicy, w Sicinach pojawia się w tej roli Anton Köllner z Schwarzwald w Czechach. W tym ostatnim kościele należącym do cystersów, podobnie jak we wznoszonym w tym samym czasie kościele parafialnym w samym Lubiążu, współpracują z architektem malarze i rzeźbiarze, poleceni przez klasztor. Działający równolegle we Wrocławiu, Krzysztof Hackner miał aż 23 uczniów a i tak dorabiał handlem gruntami budowlanymi oraz udzielając kredytów hipotecznych. Takiej działalności Frantz chyba również nie prowadził, a przynajmniej nic o niej nie wiemy. Z Elżbietą Schönwalder – córką stolarza, miał natomiast dwie córki, z których to jedna zmarła w dzieciństwie oraz syna – Karola Marcina, któremu przekazał swoje powołanie i doświadczenie zawodowe. Urodzony w Legnicy w 1712, przyszły „architekt JKM” – króla polskiego,

osiadły z czasem w Rydzynie, pomagając ojcu w realizacji ostatnich w jego życiu zamówień, stał się zapewne jego nadzieją i oparciem. Można postawić hipotezę, że to on właśnie podpisywał innym charakterem pisma, a może i wykonywał, powstałe po 1734 r. rysunki projektowe, a prawdopodobnie wywierał także wpływ na przedstawioną w nich koncepcję. Poza Rząśnikiem, chodzi tutaj o dwa wspomniane kościoły parafialne: św. Walentego w Lubiążu (1734-1742) i św. Marcina w Sicinach (1736-1740) fundowane przez cystersów w ich dobrach. Obydwa – choć w niejednakowym stopniu – wykazują wpływy dientzenhoferowskie z Pragi. Gdy chodzi o ten drugi, wiemy, na podstawie umowy, że jego budowy „nach eingereichten Rissen” podjął się Frantz – ojciec, ale zrealizował ją wspólnie z synem. Tak samo było prawdopodobnie w Lubiążu, tam jednak nie zachowały się archiwalia. Przypuszczamy, że te poważne zlecenia udało się niemłodemu już architektowi z Legnicy uzyskać właśnie dlatego, że w projektach obydwu kościołów przejawiał się już bardziej nowoczesny, malowniczy i dynamiczny styl czeski. Lubiąż nawiązuje wprowadzie w sposób umiarkowany, do popularnego już wówczas na Śląsku wzorca kościoła św. Mikołaja na Małej Stranie, ale plan Sicin musiał stanowić prawdziwą rewelację. Poza spotykaną od czasu elipsą, nie uznawano tutaj bowiem żadnych eksperymentów przestrzennych, zwracając się z reguły ku rozwiązaniom tradycyjnym. Zupełnie inaczej było z Dientzenhoferem, który nie tylko nigdy nie powtarzał cudzych koncepcji, ale nawet własnych - nieustannie je przetwarzając. Jedną z takich koncepcji jest na pewno kościół w Sicinach, który nie powtarza wprowadzie dosłownie żadnego z dzieł praskiego architekta, ale wyraźnie nawiązuje do kilku z nich. W efekcie listę potwierdzonych archiwalnie dzieł Martina Frantza otwiera kopia kościoła Katarzyny w Sztokholmie, reprezentująca czysty styl klasyczny, a zamyka niekonwencjonalny plan i oryginalne wnętrze kościoła św. Marcina w Sicinach, „jakich nie powstydzilyby się Czechy. Günther Grundmann zakładał, że ta zmiana stylowa w twórczości Martina Frantza nastąpiła drogą ewolucyjną. Nie udało mu się jednak tego udowodnić. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że niekonwencjonalny projekt musiał przywieźć z Pragi (być może bezpośrednio z pracowni Dientzenhofera) jego syn – Karol Marcin, który ok. 1734 r. powrócił prawdopodobnie z podróży czeladniczej.

Grundmann swoją książką wykreował Marcina Frantza, na jednego z czołowych architektów okresu rozkwitu baroku na Śląsku. Trudno orzec czy tak było, ponieważ mieszał w niej fakty historyczne z przypuszczeniami. W konsekwencji

dzisiaj obraz indywidualnego stylu tego architekta przedstawiany jest inaczej. Stosunkowo mało w nim jednak cech i form charakterystycznych, zdradzających twórczą inwencję. Właściwie ograniczają się one do pewnego typu hełmu na wieży i balustrady wykorzystywanej jako attyka. A jednak jego umiejętność kopiowania przyczyniła się do powstania na Śląsku kilku charakterystycznych budowli – protestanckich i katolickich.

***Jan Wrabec***